

Clemens J. Setz, opowiadanie z tomu
„Die Liebe zur Zeit des Mahlstädter Kindes”

© Suhrkamp, 2011 Berlin

tłum. Zofia Sucharska

Zwłoki

Gdy Markus Kellmer wrócił z pracy do domu, na dywanie w swoim salonie znalazł nagą kobietę. Jej zmierzwione włosy przypominały gniazda wron lub wierzchołki drzew rysowane przez niego w dzieciństwie, a skóra błyszczała, jak gdyby była pokryta lukrem, kiedy zaś ostrożnie obrócił ją na plecy, żeby się do niej odezwać i być może w ten sposób dowiedzieć się, kim jest i czego szuka w jego mieszkaniu, stwierdził, że ta nie żyje.

Natychmiast podszedł do okna i zaciągnął zasłony. Właściwie było na to jeszcze zdecydowanie za wcześnie, jeszcze się nie ściemniało. Zaledwie przed kilkoma dniami nadeszła wiosna, słońce miało zajść dopiero za godzinę, około szóstej. Kilka tygodni temu zwykło znikać już około czwartej, jednak teraz dni się poprawiły i dłużej rozjaśniały świat, a wkrótce miał je zastąpić kryjący się już w nich letni żar.

To właśnie promienie popołudniowego słońca zawsze pierwsze witały Markusa, gdy w pogodne wiosenne dni przekraczał próg swojego mieszkania. Myśl, że miałby ich nie wpuszczać, przyprawiła go o ból głowy, uczucie takie, jak gdyby pokój naszła migrena. Nie miał jednak wyboru, w końcu na podłodze w jego mieszkaniu leżała martwa kobieta. Skóra wokół jej ust i dziurek w nosie wyglądała tak, jak gdyby ktoś potraktował ją jak draskę do zapalek. Podniósł nieboszczkę i usadził ją na fotelu. Opadła natychmiast, jej stawy były jak galareta, ciało jak wypełniony płynem balon. Spróbował jeszcze raz, lecz zamiast pozostać w pozycji siedzącej, opadła zgięta w pół jak ktoś, kto nagle musi zwymiotować, po czym uderzyła głową o parkiet. Głośny huk sprowadził Markusa na ziemię; natychmiast skierował się ku wieży stereo i ją włączył. Przy muzyce lepiej mu się rozmyślało.

Nie mógł tak po prostu zostawić zwłok na podłodze, ponieważ zwłoki ulegają zmianom, ich powierzchnia nie jest tak stabilna jak u żywego człowieka. W zasadzie zwłoki interesuje tylko i wyłącznie jedno: uleganie rozkładowi. Aby w miarę możliwości całkowicie zniknąć, potrzeba podłoża podatnego na wymianę, leśnej ściółki albo bagna. Czegoś, z czym

mogą powoli stopić się w jedność. Tu jednak czegoś takiego brakowało, więc musiał ruszyć głową. Wziął pilota i podgłośnił muzykę.

Przypomniało mu się, że niedawno schował za kaloryferem spory drewniany model samolotu. Było to w zeszłym tygodniu, gdy ukrył go przed składającymi mu wizytę rodzicami. Za kaloryferem miejsca było sporo, ale czy w tej przestrzeni zmieściłoby się także ciało dorosłej kobiety? Markus znalazł taśmę i zmierzył nią zwłoki. Należało spróbować.

Męczył się przez ponad pół godziny, ale ostatecznie zza grzejnika i tak wystawała głowa i górna część tułowia. Mimo to uznał to za połowiczny sukces. Przez chwilę po prostu siedział oparty o framugę drzwi i patrzył przed siebie pustym wzrokiem. Co też mogło być przyczyną zgonu kobiety? Nie dostrzegł śladów duszenia ani krwaków. Cokolwiek się nie stało, jej ciało nie uległo przy tym skaleczeniom. Może ją otruto. Albo umarła śmiercią naturalną. Była jednak jeszcze naprawdę młoda, jej wiek oszacował na dwadzieścia pięć do trzydziestu lat.

Wstał i przeciągnął się. Nie, to wyglądało koszmarnie. Model samolotu był za kaloryferem bezpieczny, ale zwłoki zauważyłby naprawdę każdy, kto by teraz wszedł do pokoju. Musiał znaleźć na nie inną kryjówkę.

Wyciągając ciało zza kaloryfera, jednocześnie obchodził w myślach różne zakątki mieszkania. Kobieta była naga, więc niecierpliwie potrząsając nią i szarpiąc, w kilku miejscach uszkodził ciało. Żeberka kaloryfera wbiły się w jej bladą skórę, jak gdyby była z masła. Krwi pociekło jednak niewiele, bo serce przecież przestało bić, naczynia krwionośne nie były już pod ciśnieniem. Mimo to na podłodze i samym grzejniku pozostało kilka brzydkich plam. Markus poszedł do łazienki i przyniósł mokrą szmatkę, którą wyczyścił zeberka grzejnika. Teraz była wiosna, ale gdyby dziś pozostawił na nich do wyschnięcia ten płyn ustrojowy, kolejnej zimy po uruchomieniu kaloryfera rozniósłby się okropny smród.

Chwycił zwłoki pod ramiona i wyciągnął je z powrotem do przedpokoju, znów pozostawiając kilka śladów, tym razem podłużnych, czerwonych smug na podłodze. Potrząsając głową poszedł do łazienki, wziął drugą szmatkę i zabrał się do szorowania. Czasami jego myślenie było naprawdę spowolnione, wręcz ociężałe. Aby coś takiego się już nie powtórzyło, zawinął ciało od stóp do głów w duże ręczniki. W ten sposób znacznie łatwiej też było ciągnąć je po parkiecie.

Muzyka płynąca z wieży zamilkła i spiker ogłosił nazwiska kryjące się za basem, perkusją i fletem poprzecznym.

Markus zostawił zawinięte ciało na noc w wannie. Następnego dnia prawie zasnął, dźwięk budzika uznając przez sen za pełen smutku pożegnalny rechot żaby, która została wystrzelona w małej rakiecie na geostacjonarną orbitę wokół Ziemi. Miał akurat tyle czasu, żeby zjeść lekkie śniadanie i już musiał wychodzić na autobus do pracy. Późnym popołudniem wrócił do domu.

Zapach wyczuł już przy wejściu. Nie był zbyt intensywny, ale jednak. Poszedł do łazienki. Zwłoki leżały tak jak je zostawił wczoraj wieczorem, jedynie na chuście przykrywającej twarz utworzyła się plama, która kształtem przypominała nieco liść klonu.

Był wykończony po pracy; zwykle w takie dni z przyjemnością brał kąpiel, wyciągał się w gorącej wodzie i poruszał palcami u nóg, a wszystkie troski, które zaprzętały mu głowę, powoli tonęły w górze szeleszczącej piany. Dziś może jeszcze mógł zrezygnować z tego codziennego oczyszczającego rytuału, ale na dłuższą metę na pewno tego nie wytrzyma. Właściwie to już zrobił się nerwowy. Wyszarpnął ciało z wanny, wytoczył je do sąsiedniego pokoju i prysznicem opłukał wannę do czysta. Zużył prawie całą butelkę środka do czyszczenia kafelków, zanim wreszcie poczuł, że może bez wstrętu wejść nago do wanny.

Zanim jednak wziął kąpiel, zabrał się do wstawiania ciała do częściowo pustej szafy na ubrania stojącej w pracowni. Dziwne, że nie wpadł na to wcześniej. W szafie schował już przecież kiedyś cały komplet zwiniętych rolet (z wystającym od góry białym sznurkiem wyglądały jak laski dynamitu). Choć zwłoki mieściły się w środku, to za każdym razem, gdy usiłował domknąć drzwi, przechylały się do przodu i musiał je łapać. Nieboszczka padała mu w ramiona niczym przy spotkaniu po latach. Dopiero kiedy przymocował nadgarstki taśmą do ścianki od wewnątrz i kilkoma warstwami zalepił otwór wentylacyjny u podłogi, uznał wreszcie, że konstrukcja wytrzyma przynajmniej kilka dni.

W łazience był zaledwie kilka minut, ustawiając słuchawkę prysznicową, kiedy rozległ się huk. Wyłączył wodę i zaczął nasłuchiwać. Zapadła cisza, ale cóż z tego, skoro wiedział, co się stało. Pólnagi wyszedł z łazienki do pracowni.

Widok kobiety wykrzywionej w okropny sposób, wciąż do połowy w szafie, a w połowie na zewnątrz, był tak żałosny, że Markus donośnie parsknął, co nie było spowodowane podrażnieniem śluzówki nosa, lecz jego wyobraźni.

Aby ją podnieść, musiał ją najpierw rozplątać, tak, dosłownie rozplątać, bo – mój Boże – nawet akrobata nie chciałby przyjąć takiej pozycji. To jednak zwłoki, stwierdził, coś, co nie żyje. Nie można więc mierzyć ich tą samą miarą.

Może należało zostawić ciało tak, jak leżało, zbite kłębowisko ramion i nóg i w wielu miejscach popękanego już w szwach tułowia. Bez wątpienia łatwiej je było przenieść, ale oczywiście zajmowało teraz więcej miejsca niż w stanie rozłożonym.

Dywan w mieszkaniu Markusa był tym z rodzaju wiekowych. Przeszło po nim wiele pokoleń, tupot dziecięcych stópek ewoluował na nim w ociężałe kroki wieku i odpowiedzialności, przyjmowano na nim gości weselnych i żałobników, jego wzór stanowił wyzwanie dla zmysłu geometrycznego blisko dwudziestu lub więcej osób, przetrwał wojny światowe, czasy euforii i twórczego chaosu, krótko mówiąc – był to dywan, pod który ot tak nie wsuwa się zwłok.

Markus o tym wiedział. Wiedział o tym wszystkim i mimo to nie przychodziło mu do głowy żadne inne rozwiązanie. Wypróbował już wszystko: szafę, grzejnik, wannę. Nie pozostało mu zbyt wiele możliwości poza tym, żeby spakować zwłoki i wyrzucić je przez okno na nogi, na łeb, na szyję. Poza tym czas naglił.

Oburącz podniósł ciężki dywan, kopniakami przesuwając ciało w miejsce, w którym klepki parkietowe były nieco jaśniejsze. Klepki te, nietknięte przez światło i ludzi, bez wątpienia stanowiły najbardziej intymną i delikatną strefę w mieszkaniu. Trwało to chwilę, aż wreszcie ciało znalazło się we właściwym miejscu; wtedy rozłożył na nim dywan. Uczucie, które ogarnęło go, gdy ciężka, gęsta, pachnąca przeszłością i skórzanymi butami tkanina całkowicie przykryła to ciało obce sprawiając, że praktycznie zniknęło, było uczuciem ogromnej ulgi. Niemalże klasnął głośno w dłonie.

Nowy dywanowy pagórek przypominał nieco trójwymiarowy model mapy topograficznej. Wzniesienia utworzone przez martwe ciało przez przypadek co do joty odpowiadały koncentrycznemu wzorowi na dywanie. Najciemniejsze obszary leżały na geograficznie najwyższym wzniesieniu (ramion, które zawsze nieco wystawały do góry, gdy zwłoki leżały na plecach). Całość wyglądała niemalże tak, jak gdyby ktoś stworzył tę kompozycję celowo, aby ułatwić orientację.

Rozwiązanie to bez wątpienia było najlepszym z dotychczasowych. Problem pojawiał się dopiero wtedy, gdy musiał przejść nad zwłokami, bo wyrzucenie dywanu nieustannie groziło potknięciem. Markus przesunął więc z pracowni do pokoju swoje duże biurko, którego tak czy inaczej nigdy nie używał do niczego, co miałoby sens, aż znalazło się ono dokładnie nad dywanowym pasmem górskim. W ten sposób przynajmniej nie będzie się o nie potykać. Biurko stało więc teraz tutaj, pośrodku pokoju, wprawdzie niezbyt korzystnie, ale być może w ten sposób znacznie częściej przy nim siadać i pracować nad swoimi drobnymi

poetyckimi próbkami, które równie łatwo wychodziły spod jego ręki, co przysparzały mu trosk w obliczu swojej ewidentnej bezcelowości.

Wcale nie wyglądało to źle. Pośrodku pokoju mały pagórek, a nad nim biurko. Jeśli nie uda mu się zalać go falą zapisanych kartek papieru, po prostu rozłoży na nim kiedyś podłużną płachtę, która będzie sięgać aż do podłogi.

I po sprawie, pomyślał Markus i poszedł do kuchni. Za szczęśliwy finał trudów ostatnich dni należało koniecznie wznieść toast. Przez chwilę bezmyślnie wodził wzrokiem po kilku etykietach, aż wybrał cabernet sauvignon, butelkę z bordową zawartością.

Po powrocie do salonu, w którym stół zajmował teraz niezaprzeczalnie centralne miejsce, nadając pokojowi nowy emocjonalny punkt ciężkości, zauważył, że przyniósł *dwa* kieliszki. Z każdym krokiem obijały się o siebie z cichym brzękiem, uchwycone lekko w palcach, którymi obejmował ich cienkie, szklane szyjki.